



Dom Serca św. Klary

List nr 3

Paulina Szramowska, Manila (Filipiny)

9 lutego 2016

Drodzy Przyjaciele!

Już od ponad dwóch tygodni mówię o napisaniu tego listu, więc dziś kiedy wreszcie znalazłam chwilę, zabieram się do pisania. Tyle się wydarzyło przez ten miesiąc, że nie wiem sama na czym się skupić.

Zacznę od początku stycznia i uroczystości *Czarnego Nazareńczyka*, którego figura otoczona jest na Filipinach wielką czcią. Historia figury sięga czasów, kiedy Hiszpanie kolonizowali te tereny. Na statku, który miał ją przetransportować z Hiszpanii na Filipiny, wybuchł pożar. Wszystko się spaliło, oprócz figury, która przetrwała i zmieniła swój kolor na czarny. Ponoć, kiedyś po latach, ponownie przetrwała pożar kościoła. Filipińczycy wierzą, że jeśli dotkną ręczniczkiem, którym potarta została figura, miejsca chorego, zostanie ono uzdrowione. 9 stycznia obchodzone jest Święto *Czarnego Nazareńczyka*, którego figura znajduje się w kościele w Kiapo. Tradycją jest, że w noc z 8 na 9 stycznia wszyscy mieszkańcy Manili idą w pielgrzymce do tego miejsca aby prosić Boga o łaski dla siebie i swojej rodziny. Nasi sąsiedzi, również obchodzą to święto, pomimo iż wielu z nich nie jest zbyt związanych z Kościołem Katolickim. Dla mnie zaproszenie do pójścia razem z nimi, było przede wszystkim nadzieją na poznanie kultury tego kraju i samych sąsiadów. Dzięki wyjaśnieniom Christhiana (naszego 19-letniego sąsiada), wiedziałam, że na Mszę Świętą nie mamy co liczyć, wiedziałam że chodzi bardziej o tradycję i rozrywkę (jednak postawa ta nie jest typowa dla większości Filipińczyków, spora ich część jest naprawdę wierząca). Wcześniej przygotowaliśmy obowiązkowe, żółte koszulki z wizerunkiem *Black Nazareno*, by nie różnić się od naszych sąsiadów, i tak jak nam powiedzieli, o drugiej w nocy byliśmy gotowi do wyruszenia w drogę. Okazało się, że 2:00 w nocy to czas, w którym zaczęto gotować zupę na dworze na ognisku zrobionym z różnych śmieci. Usiedliśmy więc z nimi i zaczęliśmy rozmawiać. Około godziny trzeciej zupa była gotowa, zjedliśmy ją wspólnie i wyruszyliśmy w drogę. Rozbawiło mnie, kiedy po mniej więcej pół godzinie marszu wsiedliśmy do jeepney'a i podjechalśmy dobry kawałek drogi do Divisorii (rozbawiło mnie to, ponieważ wszyscy ekscytowali się, że będziemy szli pieszo tak daleko, jednak z tego co zaobserwowałam ludzie w Manili naprawdę nie lubią chodzić pieszo i kiedy tylko mogą wybierają najróżniejsze środki komunikacji miejskiej, które tutaj są bardzo tanie). Z tamtąd mieliśmy już tylko jakieś półtorej godziny drogi. Im bliżej byliśmy kościoła, tym widzieliśmy coraz więcej wielkich replik figury *Czarnego Nazareńczyka*. Kiedy zauważyliśmy naszą, z Tumany, również daliśmy nasze ręczniczki do potarcia, później otrzymaliśmy kanapkę i napój spod statuy, co było zabawne i bardzo miłe. Kiedy

dotarliśmy przed ogromny stadion gdzie trwały modlitwy, jednak z powodu tłumu nie udało nam się wejść do środka, podejść bliżej by coś zobaczyć, usiedliśmy na ulicy, jak większość ludzi i kiedy słyszeliśmy jakąś znaną nam modlitwę, wstawaliśmy i modliliśmy się ze wszystkimi. Spędziliśmy tam ponad godzinę, potem przenieśliśmy się w inne miejsce, część z moich sąsiadów położyła się na zakupionej po drodze folii i spała. I tak spędziliśmy noc, rozmawiając, chodząc, słuchając benbnów obwieszczających, że jakaś figura *Black Nazareno* jest blisko i po prostu spędzając razem czas. Po drodze bardzo miłym zaskoczeniem dla mnie było zobaczyć, jak nasi sąsiedzi troszczą się o nas, aby nikt się w tłumie nie zgubił. O godzinie 7:00 rano zdecydowaliśmy z Sabiną i Josephem, że chcemy iść na poranną Mszę, więc wyjaśniliśmy to naszym sąsiadom i pożegnaliśmy się z nimi. Myślę, że to doświadczenie nas zbliżyło. Dzięki niemu kolejne lody zostały przełamane.

Zmieniając trochę temat chciałam napisać o sytuacji, która bardzo mnie cieszy. Kiedy tutaj przyjechałam poznałam J.J.'a, chłopca, który mieszkał na ulicy. Zajmował się żebraniem, nie chodził do szkoły. Z powodu życia jakie prowadził był jak dzikie zwierzątko: nieufny, gotowy do ucieczki w każdej chwili, ciężko było złapać z nim kontakt i łatwo było go przestraszyć, czasem nawet małym nieprzemyślanym gestem. Poznałam go dzięki Sabinie, która spotykając go, zapraszała go do nas do domu, karmiła, czasem dawała nowe ubranie, starała się zachęcić go, żeby wrócił do babci, która jest jego prawną opiekunką (o ile można tak powiedzieć o dziecku, które nie ma certyfikatu urodzenia, ale o tym za chwilę). Mama J.J. jest chora psychicznie, często zniknęła gdzieś i czasem nawet najbliżsi nie wiedzieli gdzie mieszka. J.J. od razu stał się dla mnie kimś ważnym (może dzięki temu, jak szybko obdarzył mnie zaufaniem, pozwolił się przytulić, uśmiechał się do mnie), bardzo chciałam mu pomóc, ale nie wiedziałam jak. Jedna sytuacja szczególnie zapadła mi w pamięć. Opowiadałam Wam w pierwszym liście o tym, jak zabraliśmy chłopców na prysznic do parafii, kiedy wszystkie dzieci się zebrały zaczął padać deszcz. Wszystkie, oprócz J.J. uciekły pod dach. Mój mały przyjaciel skulił się na ziemi i zaslonił twarz rękami. A mi w tym samym momencie zachciało się płakać, gdyż był to dla mnie dowód na to, że wiele razy kiedy padało on nie miał gdzie się skryć, więc ta postawa stała się dla niego naturalna. Innym razem spotkałam go, jak żebrał przy supermarkecie w Agorze, dość daleko od naszej dzielnicy, za daleko dla małego chłopca. Chciałam zabrać go ze sobą, jednak nie chciał iść. Pozostawała modlitwa. I Pan Bóg wysłuchał naszej modlitwy. Około Nowego Roku, jego babcia wpadła na pomysł, jak go sciągnąć spowrotem z ulicy do domu. Powiedziała mu, że albo wróci do domu, albo zabiorą go do domu dziecka. I J.J. wrócił! Minął dopiero miesiąc od kiedy mieszka z babcią, a już widać zmiany. Jest bardziej otwarty, częściej się śmieje, zaczyna bawić się z innymi dziećmi, nie jest taki płochliwy. Chciałby także chodzić do szkoły, jednak nie może, ponieważ jego rodziny nie stać by zapłacić za jego certyfikat urodzenia, kupić mundurek i wyprawkę szkolną. W czerwcu zaczyna się nowy rok szkolny i bardzo chciałabym żeby J.J. mógł pójść do szkoły. Dla tych dzieci edukacja jest jedyną szansą na to, by kiedyś żyć trochę lepiej, by dostać pracę i mieć co jeść. Poza tym, dla J.J. byłoby to również zabezpieczenie przed powrotem do życia na ulicy.

Pomimo swojego krótkiego życia (7 lat) Bóg jeden wie, przez co musiał przechodzić. Jednak ostatnio

znów musiał się zmierzyć z trudną sytuacją. Jego mama urodziła nowe dziecko, dziewczynkę. Przez jakiś czas mieszkała nawet razem z nim, z babcią i resztą rodziny. Potem znowu zniknęła. Po pewnym czasie okazało się, że została aresztowana za znęcanie się nad dzieckiem. Prawdopodobnie jej partner znęcał się nad nią, a ona odreagowywała na dziecku. Odwiedziliśmy ją kilka razy na policji, gdzie na razie przebywa. Ona sama jest jak dziecko, nie do końca zdaje sobie sprawę co się wokół niej dzieje. Zabraliśmy raz też J.J. ale on nie chciał wejść do środka. Później zabraliśmy go do sióstr od Matki Teresy z Kalkuty, by mógł odwiedzić swoją małą siostrzyczkę. Bardzo się z tego cieszył. Tam też miała miejsce piękna sytuacja. Sabina zajęła się Jesica (tak ma na imię siostra J.J'a), a ja pomagałam siostrze karmić inne dzieci. Kiedy karmiłam Princes, upośledzoną umysłowo dziewczynkę na wózku, przyszedł J.J. z krakersami w woreczku, które wcześniej zabraliśmy dla niego z domu. Pomimo, że często niedojada, albo je tylko ryż, poczęstował Princes, a kiedy zobaczył, że jej smakuje, gotowy był oddać jej wszystkie krakersy jakie miał. Poza tym piękny był sposób w jaki na nią patrzył, na początku z niepokojem i zaciekawieniem, ale kiedy zaczęła się do niego uśmiechać, widać było, że widzi już w niej tylko zwykłą dziewczynkę, z którą możnaby się pobawić. Czego zresztą od razu spróbował. Ten chłopiec przeszedł wiele, ale pomimo to, jego serce pozostało otwarte na to by kochać, by przyjmować innych takimi jakimi są.

Teraz znów zmieniając trochę temat. Kiedy Kelly wyjechała ktoś musiał przejąć jej obowiązki trenera siatkówki. Ja nigdy wcześniej nie lubiłam tej gry, ponieważ myślałam, że jestem w niej beznadziejna. Jednak okazało się, że wcale nie jest tak źle, a polskie szkoły naprawdę zapewniają ogólne wykształcenie, dzięki czemu wiem jakie ćwiczenia wykonywać by móc trenować z dziewczynkami. Zanim Kelly wyjechała kilka razy z nią grałam, a ona stwierdziła, że całkiem dobrze sobie radzę. To dało mi motywację do tego, by wziąć odpowiedzialność za dróżynę po jej wyjeździe. Formalnie więc za dróżynę jestem odpowiedzialna ja, jednak tak naprawdę trenujemy ją we dwie z Sabina. Jednak sam sport to jedno, a dróżyna drugie. Większość dziewczynek jest w wieku 9-13 lat i ogólnie są to dobre dziewczynki, jednak swym zachowaniem nie jednej wolontariuszce zaszczyły za skórę. Dużo myślałam o tym, co by tu zrobić, żeby lepiej nam się ze sobą współpracowało. Okazało się, że Sabina myślała o tym samym. Zwłaszcza, że w tym samym czasie, chłopcy z dróżyny piłki nożnej, pod czujnym okiem Luigiego, zrobili zdumiewające postępy w kwestii zachowania. W tych okolicznościach zachowanie dziewczynek czasami było naprawdę rażące. Rozmawiałam z Luigim, potem z Sabina. Doszliśmy do wniosku, że niektóre z ich zachowań wynikają z przekonania, że im się po prostu coś należy, że my musimy dać im sok, kupić słodycze, zabrać na basen, jednak one zupełnie nie rozumieją, że żeby powstała przyjaźń one też muszą dać coś z siebie, chociażby odrobinę wdzięczności czy szacunku. Odkryłyśmy, że żeby pomóc im dojrzeć, poprawić ich zachowanie, musimy wytyczyć granicę. I ktoś mógłby się oburzyć, powiedzieć, że powinnam zaakceptować je takie jakie są, ja jednak wierzę, że miłość polega również na stawianiu właściwych wymagań, na pomocy w rozwoju. Tak więc na początku stycznia uzgodniłyśmy, że zrobimy z nimi spotkanie, z każdą z nich będziemy rozmawiać osobno, reszta będzie czekać przed domem, by wiedziały, że to poważna sprawa i by każda czuła się doceniona. I tak też zrobiliśmy. Każda z rozmów

była trochę inna, dostosowana do konkretnej dziewczynki. Oprócz przekazania trzech prostych reguł, których mają przestrzegać, starałyśmy się też każdej z nich powiedzieć coś dobrego o niej i pokazać, że się cieszymy, że chce być w dróżyńie. Niektóre, te bardziej grzeczne prosiłyśmy o pomoc, podczas treningów. Trochę się bałam jak to wyjdzie, czy je to zainteresuje, czy to zlekceważą. Jednak modliłyśmy się za nie i Bóg nam pomógł. One naprawdę zaczęły się starać. Nie oznacza to wcale, że już jest idealnie, jednak dzięki temu doświadczeniu dostrzegłam, że pomimo wszystko, one chcą grać w siatkówkę, chcą spędzać z nami czas, a po drugie, że one naprawdę potrzebują zasad i konsekwencji, kogoś kto będzie od nich wymagał i wierzył, że potrafią przestrzegać tych zasad. Jednym z najpiękniejszych owoców i zarazem darów od Boga po tej sytuacji, jest moja relacja z Anna Maria "Dora". Kiedy przyjechałam na misję z nią było mi najtrudniej. Nie tylko dlatego, że okazywała kompletny brak szacunku, ale dlatego, że miało się wrażenie, że robienie przykrości wolontariuszom, czy denerwowanie ich, sprawia jej przyjemność. Dla mnie rozmowa z nią wtedy miała szczególny charakter, ponieważ jej zachowanie było nie do zaakceptowania, postawiłyśmy wszystko na jedną kartę i powiedziałyśmy jej, że albo jej zachowanie się zmieni, albo nie będzie mogła być w dróżyńie. O dziwo ona naprawdę zaczęła się starać. A ja ze swojej strony starałam się pamiętać o niej w każdej mojej modlitwie. Po pewnym czasie, ona sama zaczęła szukać ze mną kontaktu. Raz bawiłam się z dziećmi w domu. Część z nich czytała książeczki. Dora przysłała wzięła książkę, usiadła obok mnie i powiedziała, Ate, jedną stronę czytasz ty, jedną ja. No i zaczęłyśmy czytać. Dla mnie to również było wyzwanie, ponieważ czytanie w tagalog wcale nie jest takie proste. Później zaczęłyśmy trochę rozmawiać. Na tyle na ile mi język pozwolił, pytałam ją o szkołę. Innego razu przysłała do mnie i się przytuliła. Ostatnio nawet razem prałyśmy pokrowce na poduszki do kaplicy. Nie oznacza to, że nie zdaża jej się być niemłą, wrzaskliwą, czy roszczeniową. Jednak ona naprawdę dużo zmieniła w swoim zachowaniu, a i ja uczę się przymykać oko na wiele spraw. Relacja z nią jest dla mnie wielkim darem od Boga.

To tylko urywki naszej misji, jednak mam nadzieję, że przybliży Wam trochę nasz świat i naszych przyjaciół. Ostatnie półtora miesiąca było bardzo intensywne, ponieważ mieliśmy wiele wizyt. Cały styczeń była u nas Anna ze Słowacji, by zobaczyć na czym polega nasza misja. Później przyleciał do nas na tydzień o. Gijom z Włoch, a po nim przyleciał nasz nowy odpowiedzialny, ojciec Olivier z Indii. Coraz lepiej zaczynam rozumieć bogactwo ludzi, ponieważ naprawdę każdy człowiek wnosi coś nowego, szczególnego i wartościowego.

Dziękuję Wam za wasze wsparcie finansowe, dzięki któremu mogę być na misji i za modlitwę. Jest ona dla mnie szczególnie ważna, każdego dnia widzę, jak Bóg mi pomaga, darzy łaskami i uczy akceptować również moje własne ubóstwo. Ja obiecuję Wam moją modlitwę, by Bóg Wam we wszystkim błogosławił!

Paulina

Kontakt:

Tahanang Puso Santa-Clara  
Bloc 34 D Lot 29 Phase 2 Area 2 Dagat Dagatan  
1403 Navotas – Metro Manila  
FILIPINY  
e-mail: paulina.szramowska@gmail.com





*Trening siatkówki w pobliskiej szkole*



*J.J. u nas w domu bawi się w namiocie zrobionym z koca*



*Dziewczynki w strojach naszej drużyny "Trinty" przed meczem w Europejskiej szkole w Manili*